

## Joyce w Korei

Choć bohaterem „Imperium światel” jest agent tajnych służb, proza Kim Young-ha niewiele ma wspólnego z powieścią szpiegowską

Najwytrwalsi wielbicieli prozy Jamesa Joyce’a dawno już dowiedli, że dublińską trasę opisaną w „Ulissesie” można przejść w takim czasie, w jakim pokonał ją Leopold Bloom. Porównywany do wielkiego Irlandczyka Kim Young-ha nie ma tak wielkiego przywiązania do topograficznych detali. Ale powieść południowokoreańskiego pisarza jest rodzajem współczesnej odysei. Autor „Imperium światel” stosuje joyce’owski zabieg, wypreparowując jeden dzień z życiorysu swojego bohatera i podążając za powieściowymi postaciami trop w trop, godzina po godzinie.

Tyle że Kim Young-ha ma przy tym skłonność do zapuszczania się w rejony kafkowskie – w rzeczywistość senną i duszną, której kontury ulegają rozmyciu lub deformacji. Do opisywanej w powieści Korei Północnej autor nie wybrał się celowo, choć pisząc „Imperium światel”, miał podobno taką możliwość. Nie chciał oglądać pocztówkowego obrazka, który pokazałoby mu gospodarze. Wołał zdać się na intuicję. Dobrze się stało, bo powieść Koreańczyka nie jest ani reportażem, ani dokumentem, ani tym bardziej politycznym manifestem. To przede wszystkim świetna literatura.

Swoją drogą o tym, czym „Imperium światel” nie jest, można by rozpisywać się jeszcze długo. Niewiele znam powieści z agentem tajnych służb w roli głównej (wyjąwszy może „Niedotykalnego” Johna Banville’a), które w żaden sposób nie przystawałyby do szablonu powieści szpiegowskiej. U koreańskiego pisarza próżno szukać brawurowych akcji rodem z Jamesa Bonda. Więcej tu egzystencjalnych rozterek, rodzinnych dramatów, samotności, rozpacz.

Czterdziestoletni Kim Kiyong jest północnokoreańskim szpiegiem wydelegowanym przed laty do Seulu. Żona Kima i jego nastoletnia córka nie mają pojęcia o fachu męża i ojca, a i bohaterowi niespecjalnie zależy na rozpamiętywaniu agenturalnej przeszłości. Wszystko wskazuje na to, że centrala dawno już o nim zapomniała, on zaś wie, że stabilne życie, pracując w agencji importującej zagraniczne filmy. Do czasu.

Pewnego dnia bohater otrzymuje wezwanie – ma niezwłocznie wrócić do Korei Północnej. Choć komunikat jest jasny, bohater się waha. Jechać czy nie jechać? Co się bardziej opłaca? Gdzie tkwi większe ryzyko? Przeżywszy połowę życia w Seulu, Kim stoi w dramatycznym rozkroku między dwoma odrębnymi światami. Wychowany w realiach twardego reżimu, w dorosłym życiu zaznał nęcej wolności Południa.

Ostatnia wędrówka Kima po Seulu jest zatem próbą odpowiedzi na pytanie o własną tożsamość, opowiedzenia się po którejś ze stron. W tle przewija się refleksja na temat przemian społeczno-ekonomicznych w Korei Południowej lat 80. i 90. i gwałtownej westernizacji kraju, ale są też wspomnienia z dzieciństwa i młodości, spędzonych w totalitarnym państwie.

Kto zresztą wie, być może gdyby recenzenci zachodni znali naszą „Małą apokalipsę”, u Koreańczyka znaleźliby więcej powinowactw z Tadeuszem Konwickim niż z Jamesem Joyceem. Bo „Imperium światel” to oniryczna podróż bohatera, który właściwego wyboru dokonać nie może, mimowolnie uwikłany w historię i bezlitosną machinę dziejów. Kim Young-ha ukazuje przepaść, jaka dzieli Północ i Południe sześćdziesiąt lat po separacji dwóch Korei.

Z drugiej strony autor „Imperium światel” broni się przed przypinaniem mu łatki pisarza politycznego. Znacznie bardziej interesują go bohaterowie – zagubieni mieszkańcy wielkich metropolii. W wielu miejscach zapomniemy, że akcja powieści toczy się w Seulu. Stolica Korei Południowej zdaje się kopią setek innych wielkich miast.

Malwina Wapińska

